

Adam na Księżycu. O
polskiej przeszłości
i literaturze
z perspektywy
australijskiej.



Adam Fiala, fot. Andrew Fiala

Z pisarzem Adamem Fiałą rozmawia Teresa Podemska-Abt

Rozmawiamy ze sobą mailowo dwa lata. Pora na uporządkowania. Wyszło na mnie, bo Pan, o dziwo (!) i jak sprytnie (!), nie używa komputera. Zacznijmy od życia w Polsce. Jest Pan dzieckiem Lublina?

Moje 'bio' nie jest specjalnie skomplikowane. Tak, pochodzę z Lublina. Dziadkowie ze strony ojca żyli w Starym Samborze, niedaleko Czarnobyli. Dziadek Fiala był z pochodzenia Czechem lub Włochem. Dziadkowie ze strony Matki mieli nazwisko Kultys. Członkowie dalszej rodziny pojechali kiedyś na Litwę i ustalili, że Kultysi byli zubożałymi księżętami i pracowali na roli, co traktowałem jako dobry dowcip. Moja matka była pomocnikiem

księgowego w RUCHU. Jako emerytka malowała ręcznie dewocjonaia dla Ars Christiana. W odróżnieniu ode mnie była bardzo religijna i nazywała swoją pracę malarstwem precyzyjnym. Ojciec, prawnik, był początkowo dyrektorem Poczty i Telegrafów województwa lubelskiego, a później - adwokatem. Fiala nie jest w Polsce popularnym nazwiskiem. Rodzice wzmiankowali o pewnym panu Fiali, który nie był z naszej rodziny, ale był przedwojennym szefem bezpieczeństwa. W jakimś czasie szkolnym nazywano mnie wrogiem klasowym i rozumiałem, że to było dwuznaczne. Śladem Ojca, poszedłem na prawo w Lublinie, po którym, a był 1963 rok, zostałem radcą prawnym. Pracowałem na prowincji na wielu półetatach i „ćwiartkach radcowskich”. Po dwudziestu latach takiej pracy z Polski wyjechałem.

A kiedy zaczął Pan pisać? Pisać literacko, oczywiście, bo nie pytam o listy, choć „ludzie listy piszą” zwykle i niezwykle jak *Wariacje pocztowe* Brandysa albo *Julia*, czyli *Nowa Heloiza* Rousseau.

Listy piszę od dziecka, jak wszyscy kiedyś. Wiersze pisywałem na studiach, ale jakby w stylu prozatorskim, bez metafor i ozdobników. Po latach znalazłem, że w podobnym stylu pisał w Los Angeles nieżyjący już Charles Bukowski. Moim ideałem ze względu na klarowność jest też Herbert, czasami jego wiersze są takimi mini nowelami poetyckimi, czyli - moim ideałem. Kiedy

miałem ze dwadzieścia trzy lata, debiutowałem w *Kamencie* tak zwanymi krótkimi formami, które puszczano w dodatku dla młodych pisarzy. Moich wierszy nikt nie chciał publikować, więc wziąłem się za prozę i mając ze dwadzieścia pięć lat, napisałem – jak to określono w krytyce promocyjnej wydawnictwa *Iskry* – powieść eksperymentalną: *Jeden myśliwy, jeden tygrys*. Był to luźny zapis; odbiegał od tradycyjnie skrojonej prozy. Redaktorzy się obawiali, że nie znajdzie czytelników, ale było odwrotnie. Próbowałem nawiązywać w tej prozie do książki *Buszujący w zbożu* Salingera. Nie wiem czy mi się to udało.

***Kamena* to z doskonały start pisarski. Przypomnijmy, czasopismo ukazywało się już przed wojną, początkowo lubelskie, później ogólnopolskie, działało do 1993 roku. *Kamena* mierzyła wysoko i w swej historii miała wielu wybitnych współpracowników: Józefa Czechowicza, Józefa Łobodowskiego, Edwarda Stachurę, Władysława Broniewskiego, Tadeusza Bocheńskiego, a także Juliana Tuwima, Juliana Przybosa, Mieczysława Jastruna. Kogo Pan wspomina ze swoich w niej czasów? Czy zadomowił się Pan w niej tylko dlatego, że miała siedzibę w Lublinie?**

Kamena była „pod ręką”. To zdawało się sensowne, żeby akurat z nią się związać. Była pismem z dużymi tradycjami i znakomitymi nazwiskami. Kazimierza Jaworskiego nazywano Kajem, zaś syna Marka Majem: prywatnie pisywałem o nich fraszki. Redakcję i

zespół czasopisma tworzyli wspaniali ludzie. Pamiętam Marię Bechczyc-Rudnicką, autorkę prozy zatytułowanej *Malerza raweńskiego owieczek dwadzieście* wzorowaną na włoskich legendach z XVI wieku. Bardzo nas to anarchizowanie Pani Marii wtedy bawiło. Była znaną tłumaczką. W młodości była arystokratyczną damą tańczącą na dworze ostatniego cara, ale wcale jej to nie przeszkodziło zostać w PRL-u naczelną redaktorką. Była niezwykle żywotna: dobrze po dziewięćdziesiątce, w czasie stanu wojennego, samodzielnie wyjechała na wycieczkę do Paryża. Krążył o Niej taki absurdalny dowcip, że gdyby zapisywała się do WRON'u, spytałaby z pewnością czy trzeba będzie płacić składki członkowskie.

Ja natomiast wspominam pierwsze honorarium, jakie otrzymałem z *Kamieny*, bo dla studenta kilkadziesiąt złotych w owych czasach to bajka. Było wtedy modne powiedzenie: „Student żebrak, ale Pan”. Bardzo żałowałem, że *Kamień* się skończyła. Na początku mojej drogi w *Kamieniu* myślałem o wierszach, lubiłem formę, ale nie to im się podobało. Moich wierszy w *Kamieniu* nie lubiano, ale na szczęście (!) ceniono prozę. Mówiono: „Fiałę się czyta”. W *Kamieniu* ludzie rozumieli, że widzę Polskę Ludową jako kopalnię ciekawostek obyczajowych. Byli oczywiście dużo lepsi ode mnie, jak Sławomir Mrozek, ale wtedy nie szło o rywalizację; wtedy wielu polskich pisarzy i poetów tworzyło w podobnym duchu. Często motywacją do pisania była ówczesna sytuacja polityczna, paradoksy społeczne, absurdy tamtego życia, a w

końcu sprzeciw i potrzeba artystycznego wyrażenia go, może zakamuflowania nim, pisaniem znaczy, niezadowolenia, no i oczywiście – chęć tworzenia.

Pisanie i upublicznienie własnego głosu także? Był Pan wtedy ambitny? Miał Pan przecież być prawnikiem, nie pisarzem.

Tak. I jedno i drugie. Myśleliśmy, że razem możemy coś zdziałać, ale chyba nie do końca mieliśmy w tym rację, bo państwo ludowe czuwało i choć w pewnym sensie było mecenasem, to wiele osób musiało wybierać, żeby omijać cenzurę. Moją ambicją nie było zostać prawnikiem, na ten kierunek naciskał mój Ojciec, mnie bawiło i pochłaniało obserwowanie życia, a że było dziwaczne, to i dziwacznie o nim było pisać i pisałem.

Z tą cenzurą w Pana przypadku nie było aż tak źle, bo w latach siedemdziesiątych, gierkowskich, minionego stulecia był Pan już autorem kilku wydanych książek: w 1976 roku ukazała się mikropowieść, którą Pan wspominał, *Jeden myśliwy, jeden tygrys*, w 1978 - *Sprawy rodzinne*, a w 1979 - *Zygzakiem po prostej*. W 1979 roku czytelnik otrzymał też Pana opowiadanie: *Termiterium wisielców*. Krytyka literacka tamtego czasu zarejestrowała Pana jako pisarza ironicznego, skupionego na detalu. I istotnie, we wszystkich wymienionych tytułach odczytujemy autoironię

bohatera i satyryczno-ironiczną reprezentację rzeczywistości.

Z cenzurą było różnie. Mój debiut w PRL'u nie należał do brawurowych, ale fakt, zdobyłem w tamtym czasie pewną popularność. *Termiterium wisielców* opowiadało o ludziach mieszkających w tzw. socjalistycznym „mrowiskowcu” z prefabrykowanych płyt betonowych. Oni kochali teatr, zwłaszcza ten w TV polskiej. To co się działo wtedy i w tych mrowiskowcach było teatrem, stąd był mój zamysł na ten tekst. Wszystkie książki (siedem) wyszły w ćwierć milionowym nakładzie. Henryk Bereza poświęcił mi artykuł zawarty w swojej książce krytycznej, tytułu nie pamiętam, nie wiem nawet czy On jeszcze żyje. Pisał o mnie także, później chyba nieco, Emil Biela, któremu posyłałem długie listy pełne wrażeń z Australii, plus malunki i szkice miniaturowe, a On w rewanżu przesyłał mi wycinki z prasy literackiej w Polsce. Ostatnio pisze o mnie Pani, co poczytuję za dla mnie ważne, bo podoba mi się jak Pani pisze i widać w tym nie tylko warsztat akademicki, ale literacki i krytyczny talent pisarski. Dziękuję.

Miło, że tak Pan widzi moją pracę. Henryka Berezę przez jakiś czas czytywałam w *Twórczości*, jeszcze tu w Australii.

Dzięki Niemu zaistniałem. Zawsze mnie zaciekawiał. Mam pamięć do twarzy, a Bereza przypominał mi fizycznie Witkacego.

Poza tym pamiętam Go dobrze, bo mówił niezwykle oszczędnie i cicho. Raz się z nim spotkałem w jego mieszkaniu koło Pałacu Kultury, na wódce, którą mnie częstował. Twierdził wtedy, że pod jego mieszkaniem znajduje się ukryty warsztat, który pracuje w pewnych momentach i bardzo sprytnie się wycisza. Dało mi to do myślenia, ale o nic nie wypytywałem. Wiedziałem, że Bereza bardzo lubił dziwnych pisarzy i zastanawiało mnie dlaczego mną się interesował, bo ja sam uważałem się za średnio dziwnego. Do jego ulubionych autorów należał Jan Dżerdżon z pochodzenia Kaszub, który pisał tak dziwne rzeczy i takim sposobem, że włosy na głowie stawały.

W którymś wywiadzie Bereza powiedział, że rozpoznał u Jana Dżerdżona „najwyższe wartości literackie”. Nie jest tajemnicą, iż Bereza szukał w literaturze *nowego*, więc myślę, że chodziło Mu o nieschematyczność manifestującą się nie tylko mityzacjami i obecnością „snu” w prozie Dżerdżona, ale umiejętnym zacieraniem granicy między różnymi stanami i treściami życia. Obu łączyło zainteresowanie twórczością dla dzieci. Czytałam, że Bereza dobrze tańczył, był muzykalny i podobno doskonale pływał. Lubił być kontrowersyjny. Te Jego zalety prowadzą w kierunku Pana postaw i prozy, bo nie zabiega Pan o sławę, a nawet, jak w wierszu *mam*, chcąc „tworzyć tworzyć tworzyć/dla własnej/ we własnej/bańce mydlanej”, Pana podmiot „kocha pisanie do szuflady”. Poza tym, cechuje

Pana upodobanie do codziennego sportu, a Pana bohater do niczego nie zmierza, czyli reprezentuje to, co Bereza kiedyś ogłosił jako „koniec romantycznej tradycji” w naszej literaturze. Pana bohater to obserwator, poddający się, niemalże biernie, biegowi wypadków i rzeczywistości, biorąc z niej co się da.

Bereza miał udział w moim debiucie, a moim szczęściem, było, że znalazł we mnie oryginała. W zasadzie, powinienem się cieszyć, że mi to w ogóle wydali. Oczywiście, zadowolony byłem, bo co innego miałem do roboty. Cechuje mnie to, że od małego uprawiam kilka dziedzin sztuki i one mi się łączą. Zdaję sobie sprawę, że budzę pewne kontrowersje u ludzi, a niektórym zdecydowanie nie leżą. Moja proza jest jaka jest, a bohater jest zwyczajnym człowiekiem. Nie zawsze jest to bohater powieści, raczej tekstu, który w danym momencie piszę. Obojętne mi są kategoryzacje gatunkowe i wszelkie dyskusje o narracji. Niech się krytycy trudzą, ważne, aby było czym.



Adam Fiala, fot. Andrew Fiala

Zeby krytycy się trudzili, przy okazji - Henryk Bereza odszedł w 2012 roku, musi Pan publikować lub używać siły „linków”, mówiąc językiem komputerowym. Szkic, który Pan wspomina, pochodzi ze *Sposobu myślenia*, wydanego w 1989 roku. W tomie *O prozie polskiej* krytyk pisze, że Pana debiutancka powieść jest „na niby, ale ta niby-powieściowość jest (...) znakomicie umotywowana. (...) Chodzi bowiem o przenikliwe widzenie codzienności życia, o prześwietlenie jej charakteru i wymiaru”. W *Codziennosci* krytyk interpretuje *Zygzakiem po prostej*,

twierdząc, że Pana narrator „jako osobowość jest funkcją nieskończoności powszednich działań, których kresem może być tylko śmierć”. Pana proza „jest opisowa, jak powieści niektórych osiemnastowiecznych pisarzy angielskich, (...) nie ma w niej nic poza czystym opisem zachowań społecznych ludzi w określonych historycznie układach rzeczywistości społecznej, nie ubarwia się tych opisów niczym, komentuje się je z rzadka (...), są to opisy, których prawda i literacka sugestywność biją w oczy”.

Kwintesencją Berezowskich analiz jest wypowiedź na temat *Kiedy święci maszerują*, odtwarzającą „zbiorową chorobę”, a „[p]rzewrotność [utworu], polega na tym, że narrator występuje jak gdyby w roli entuzjasty turystyki (...)” i ma „pretensje do wycieczkowego pilota, że uchyła się od biegów od bazyliki do bazyliki i od podziwiania rewii „maszerujących świętych” (...). Krytyk uznaje, że powieść „jest finezyjnym studium znamienego społecznego obłędu naszych czasów”. Przypomnijmy, narracja zasadzona jest na motywie podróży, cechują ją opisy ludzkich zachowań, a krytykuje Pan konsumeryzm, swoiste opętanie współczesnego człowieka i społeczeństw. Jak Pan tę Berezowską recepcję Pana utworów wspomina z perspektywy czasu? Czy tak Pan chciał, żeby były odczytane? Czy miał rację albo czegoś nie „wyczytał”, coś pominął, co było Pana zamiarem?

Jeden myśliwy, jeden tygrys był istotnie rzetelnym, a równocześnie osobliwym, zapisem rzeczywistości. Wypowiedzi, które Pani przytacza mnie zaskakują, ale głównie dlatego, że pisząc to nie miałem koncepcji powieści. Mój „art” był w jakimś sensie podświadomy. Jednym, a istotnym dla tych cytacji słów, jest słowo „zapis”. Kiedy byłem uczniem zachwyciałem się Charlesem Dickensem, szczególnie „Klubem Pickwicka”. Henryk Bereza prawdopodobnie nie wiedział, że moim ulubionym polskim pisarzem był Miron Białoszewski jako prozaik. Jego *Pamiętnik z Powstania Warszawskiego* czytałem kilkanaście razy i nawet przywiozłem go do Perth, więc nigdy się z nim nie rozstałem. Mam taką teorię, że nawet, jeżeli nie czytam określonych książek, a one fizycznie istnieją obok mnie, w mojej bibliotece, to tak jakby ciągle były we mnie i ze mną. Bawiło mnie, że tak skomplikowaną społecznie i politycznie sprawę jak Powstanie można było ująć tak lekko, jakby ktoś spacerował po parku. Myślę, że Białoszewski patrzył na Powstanie oczami dziecka i ten sposób zapisu szalenie mi się spodobał. Ze słyszenia wiem, że inni krytycy niezbyt sympatycznie patrzyli na moje powieści i może w pewnym sensie mieli rację, bo ja właściwie nie lubię powieści, nie lubię tej konwencji. Powieść jest zagadana, dlatego napisałem tysiące aforyzmów. Pisałem zawsze tak jak rysuję i maluję, czyli spontanicznie, choć oczywiście nie tylko tak, ale nigdy nie wiem co mi wyjdzie nie tylko w finale, ale w całym procesie tworzenia.

Dziecko widzi i słyszy inaczej niż dorośli, bo nie jest „skrzywione” edukacją, dziecko mówi prosto, jego postrzeganie jest autentyczne, ale ja narrację *Pamiętników* określiłabym jako „spiętrzenie strzępów” mowy. Naturalnie celowe, bo obrazujące sytuację: w natłoku zdarzeń i zagrożenia śmiercią nie ma czasu na normalność, zatem na budowanie kunsztownych zdań. Z drugiej strony, język *Pamiętnika* to „gadanie”, tyle, że nie o byle czym, a o katastrofie i (prze-)życiu zapisanym „mową więzi ulicznej” Warszawiaków. Więc, dla mnie to mowa słyszana w tramwaju, na ulicy, w kolejce. Tak o wojnie mówiło pokolenie moich Rodziców, a mój Ojciec - o swoich potwornych przeżyciach w Auschwitz i Buchenwaldzie. Oni mówili jakąś „niedo-mową” pełną pauz i napięcia. Podobnej ekspresji używa młodzież, gdy opowiada o podwórkowych bójkach, wypadkach, zaskakujących sytuacjach. Innymi słowy, mówię tu o języku ruchu i emocji, gdzie słyszę gorączkowość, falstart, emocjonalnie zapamiętane daty. U Białoszewskiego napięcie i strach zamykane są lub poskramiane śpiewem i żartem, co na przykład ma miejsce, gdy bohaterowie są w schronach. Wie Pan (?), Białoszewski uważał, że „pisanie nie może zjeść mówienia”, bo „to z napisanego - jest potem mówione na głos”. W *Pamiętniku* realizuje tę poetykę, mamy tam coś w rodzaju transkrypcji autentycznego ustnego dokumentu doświadczenia zbiorowego różnych grup, przy czym mówi

nie tylko Miron, ale miasto. Niedawno obejrzałam oratorium napisane na bazie *Pamiętników*, z muzyką Mateusza Pospieszalskiego, w reżyserii Jerzego Bielunasa. Czas przedstawienia - jak w relacjach Białoszewskiego - nie szedł łatwo, był lekcją do przeżycia, czasem emocji i dramatu. Jeśli Pan tego widowiska nie oglądał, polecam, zrealizowano je w 2009 roku i jest dostępne w Internecie.

Zobaczę co to jest, bo ten język w *Pamiętniku* jest dla mnie taki ważny dlatego, że Białoszewski o dramatycznych sprawach potrafił napisać tak jak o jedzeniu klusek, czy kapuśniaku. Ja się na literaturze nie znam tak jak Pani, ale ja ją czuję.

Bawi mnie fakt, iż ciągle pisze Pan na mechanicznej maszynie, a emaile do mnie dyktuje Pan Annie, żeby mi je szybko dostarczyła! Właściwie rozmawiamy ze sobą dzięki wspaniałomyślności pańskiej żony. Nie krępuje Pana brak niezależności? Nie ufa Pan kartce elektronicznej? Internetowi?

Maszyna do pisania ma duszę. Czcionki się odbijają w różny sposób, charakterystyczny dla danego egzemplarza. Wiadomo co jest oryginałem, a co kopią. W komputerze tego nie ma. Stukot maszyny inspiruje mnie w większym stopniu niż klikanie. Wszystkie moje teksty w Polsce pisałem od razu w trzech egzemplarzach. Ja nie chcę być nonsensowny, ale podobno

Mozart pisał swoje utwory od razu i bez skreśleń: ta idea bardzo mi się spodobała. W domu nie mam PC, bo mam coś w rodzaju studia muzycznego, które zajmuje trochę miejsca, ale też studio to instrumenty i dźwięki, a komputer to akustyczna niemota. Elektronicznej kartce i temu tak modnemu dziś systemowi internetowemu ufam choćby dlatego, że to jest jedyna szansa, żebym się choć troszkę wychylił na świat. Jestem słaby w technologii, być może w związku z moim podeszłym wiekiem, ale Internet według mnie jako źródło przekazu daje rzecz najważniejszą - niezależność. Nie daje niezależności fakt, że komputera dla mnie używa Anna. Pani ma lepiej, bo jest niezależna.

Zawsze można powiedzieć, że Pan ma z tego korzyść mediumiczną i w tej samej chwili ma Pan kontakt z Anną i ze mną, czyli sprytnie wykorzystuje Pan „towarzyski” potencjał komputera! W moim życiu komputer, wcześniej procesor, jest od ponad trzydziestu pięciu lat. To moje pióro, katalizator, komunikator, poczta, biblioteka, archiwum, odbiornik. Mój osobisty współczesny wielomedialny Golem, który mogę włączyć i wyłączyć na własne życzenie (jak to zrobił Lem z Golemem XIV). Przejdźmy do tematu twórcy i jego pracy. „Twórca” to określenie jednocześnie magiczne i kłopotliwe. Ryszard Krynicki, zapytany (to spotkanie wrocławskie z Nim ciągle pamiętam, był rok chyba 1980) „jak tworzy”, powiedział: „a

chodzę sobie, tak chodzę wkoło stołu lub po plaży i wymyślam". Jak Pan odpowie na to pytanie? Co jest Pana „motorem”? To rodzaj wewnętrznego przymusu? Niepokój, pasja? Co każe Panu tworzyć? Zaczyna Pan od gotowej koncepcji? Czy może szuka Pan tego w trakcie aktu twórczego? Jak to z Panem, Pana malowaniem, rysowaniem, pisaniem jest? Chodzi Pan? Siedzi? Pisze automatycznie w nocy? Znane jest Panu „nicnierobienie” Białoszewskiego?

Moja sztuka wynika z wewnętrznego przymusu, który mi dyktuje jak poruszać ręką i czy i jak układać słowa. Nie jest dla mnie ważne czy to ma być arcydzieło czy będzie to miało wartość materialną. Cechą moją jest niesamowita systematyczność. Potrafię codziennie malować czy rysować tylko przez godzinę, ale paradoksalnie pracuję przez całą dobę, bo mam przy sobie zawsze skrawek papieru. Notuję myśli nawet w środku nocy i spokojnie dalej zasypiam. W ten sposób zbiera mi się więcej prac niż artystom, którzy tkwią całymi dniami, czy nocami przy sztalugach, ale robią to nieregularnie. Identycznie jest z pisaniem i z muzyką. Z papierem się nie rozstaję. W plecaku, który jest moim „znakiem firmowym”, mam zawsze papier i długopis. Dlatego w każdym miejscu mogę zapisać fragment wiersza czy piosenki. Ponieważ żyję skromnie i nie mam pracowni, „art” chowam pod szufladami szaf, zaś rękopisy trzymam w dwóch dużych torbach turystycznych. W ten sposób

unikam słynnego pisania do szuflady tak podobno
znenawidzonego przez wszelkiej maści twórców, ponoć za
ostrzejszej komuny polscy pisarze w kraju pisali do szuflady. Jak
nastąpiła odwilż po Gomułce polecono im je otworzyć. No i co?
Były puste. Zamysł czy koncepcja potrafi mi się zrodzić na długo
przed pisaniem czy malowaniem i nabiera mocy jak wino.
Czytałem, że Henryk Sienkiewicz, który miał słaby wzrok,
obmyślał swoje utwory na polowaniach. Czasami mam gotową
koncepcję tego co rysuję, czy piszę, ale w trakcie działania
najczęściej ulega ona zmianom, bo dodaję spontanicznie jakieś
nowe elementy. W odpowiedzi na żart o Krynickim i
Białoszewskim nie zawsze chodzę i zawsze coś robię.

Pewnie nawet jak Pan leży, jak u Białoszewskiego: „takie
leżenie-my lenie jak ja lubię/ to jest niedobre z natury/ bo
niech ja w naturze/ tak sobie leżę-myślę/ to zaraz napadnie
mnie coś i zje”. Dobrze, to wiemy już jak Pan tworzy i leży,
a brakuje Panu czegoś, kogoś? Plaże i ocean to jedno z
pańskich oczarowań Australią i zachwyków przyrodą, o
czym czytam w autotematycznym wierszu *Australijskie
fascynacje Adama*, ale w: *Plaży*, podmiot mówi: „Polskie
morze wydawało mi się/ bardziej nostalgiczne niż Ocean
Indyjski/ (nawet mewy miały inny głos)/ Droga między
rajem i krajem/ Jest długa”, a w „Paradoksie” czytamy: Jest
taki paradoks/ że Polskę wyczuwa się lepiej/ będąc za
granicą/ Iwaszkiewicz pisał swoje/ *Podróże do Polski*/ w

hoteliku w Wenecji/ (...)/ Miłosz dostał Nobla/ za spojrzenie na kraj/ z zewnątrz/ Wańkowicz i Kuncewiczowa/ wyczuli, że życie w PRL-u/ nie jest znowu/ takie koszarne/ oficjalnie/ i wśród czytelników/ odnosili sukcesy". Więc jak to jest? Tęskni Pan za Polską? Za czymś specyficznie? Starymi drzewami, lasami, plażami, miastami? Ma Pan tam kogoś bliskiego? Utrzymuje pan kontakt z kimś ze środowiska, z którego Pan wyszedł?

Oczywiście tęsknię, tęsknię za babim latem jesienią, dymami na polach po kartofliskach, ciągle widzę obraz Chełmońskiego przed oczami..., i za skrzypiącym śniegiem migocącym w słońcu, czytałem taki ładny Pani wiersz o tym, i - przede wszystkim - za bardzo świeżą wiosenną zielenią. Ja mam Polskę w pigułce dzięki „Wydarzeniom” w TV Polsat, ale czasami bardziej niż treść tych audycji interesują mnie polskie drzewa, alejki, parki, stare dworki, które przy jakiejś okazji pokazują. W tej dziedzinie korzystam również z Internetu. Tutaj nie ma tej świeżości zieleni co tam. Wiosna wybucha w buszu jedynie masą drobnych kwiatów. Jeżeli chodzi o miasta to tęsknię za czymś drobniejszym, jak Kazimierz Dolny nad Wisłą. Także Lublin. Najmniej tęsknię za Warszawą, pomimo że przebywałem w niej kilkanaście lat. Przed oczami mam ciągle, zwłaszcza we snach, omszały pomnik radzieckich żołnierzy, tzw. „Śpiących” na Pradze. Moja nostalgia nie jest groźna, bo w Polsce rodziny już nie mam, ta bliska mi wymarła. Inna rzecz, że być może upływ czasu i

moje ironiczne usposobienie przerwały moje kontakty z Polską. Jest wyjątek, bo dobrze ciągle się porozumiewam z poetą Grzegorzem Zienteckim, byłym dalekomorskim marynarzem, lublinianinem z pochodzenia. Nauczyłem się od Niego pisać haiku i mam ich w tej chwili około czterystu, a ciągle „produkuje”. Zientecki bardzo lubi moją sztukę, dlatego ciągle mu coś posyłam w podarunku. Ostatnio z Henrykiem Rejem, nie z Nagłowic, ale z Tych, wydaliśmy w Polsce wspólnie książkę *Head made*, z Jego aforyzmami i moimi ilustracjami. Oczywiście jest w kraju mój wydawca, Mieczysław Mączka z *Miniatury*, którego cenię za humor i ironię zbliżoną do mojej. Muszę dodać, że dzięki pewnej Pani Teresie Podemskiej krąg moich znajomości odżywa i jakby się poszerzał.

Wywiad ukazał się w: *Rita Baum*, 2017. nr 43, wiosna, s.71-5.

*

Zobacz też:

Adam Fiala. Artysta niepokorny.

Adam Fiala. Turpizm australijski.

Adam Fiala - wiersze i rysunki

Australijscy twórcy na wystawie w Lublinie



Adam (z prawej) i Andrzej Fiala

Od dwóch lat w kolekcji sztuki Fundacji (dla) Polskiej Sztuki Emigracyjnej 1939-1989, znajdują się dzieła malarskie i rysunkowe Adama Fiali, polskiego artysty sztuki naiwnej zamieszkałego w Australii. Fundacja podjęła się promocji dzieł artysty, który od 35 lat mieszka i tworzy poza krajem. Pamięć i tęsknota, marzenie o symbolicznym powrocie poprzez dzieła i wystawy, utrwalanie kontaktów z ojczyzną, jest motorem działań Adama Fiali. Artysta nawiązał kontakt z Fundacją w 2017 roku i poprosił o wsparcie w swoich działaniach wystawienniczych w Polsce. Wystawa w Lublinie, rodzinnym mieście pisarza, poety,

malarza i ilustratora, prezentuje wybrane dzieła z niezwykle bogatej twórczości artysty. Przez najbliższy miesiąc, można oglądać dzieła malarskie i rysunkowe, prezentujące szeroki wachlarz tematów nawiązujących do kultury rodowitych mieszkańców Australii, umiejętnie połączonych z akcentami sztuki europejskiej, ekspresjonizmu form i treści, karykaturalnie ujętych postaci. Na wystawie znajdziemy również prace fotograficzne syna Adama Fiali, Andrzeja, które pojawiły się gościnnie, jako wprowadzenie do klimatu i atmosfery świata australijskiej przyrody, głównej sprawczyni fantastycznych pomysłów dzieł artysty. Wystawę, wspólny projekt Fundacji Teatroterapii Lubelskiej i Fundacji (dla) Polskiej Sztuki Emigracyjnej 1939-1989, możemy oglądać przez najbliższy miesiąc (październik) w Galerii Art Brut w Lublinie skąd następnie pojedzie do Łodzi i Warszawy.

Henryka Milczanowska



Adam Fiala

Adam Fiala

Pisarz, poeta, malarz i ilustrator, urodził się w Lublinie, w 1984 roku wraz z rodziną wyemigrował do Australii. Z wykształcenia prawnik, debiutował utworami poetyckimi i grafiką w *Kamienie* w latach 70. dwudziestego wieku, a później publikował w *Akancie*,

Naszym Dzienniku i Metaforze. Swoją pierwszą powieść *Jeden myśliwy, jeden tygrys* napisał w 1976 roku, odnosząc sukces i uzyskując pochlebne recenzje krytyków. Kolejne, również dobrze przyjęte powieści, powstały w latach 1977-1979 - *Sprawy rodzinne*, *Zygzakiem po prostej* oraz *Termiterium wisielców*. W tym samym czasie z sukcesami wystawiał swoje malarstwo i rysunki w galerii Desa w Warszawie. Jego prace o charakterze sztuki naiwnej, cieszyły się powodzeniem wśród odbiorców i kolekcjonerów. W formie i nastroju zbliżone do prac malarskich Nikifora, zawierały jednak znaczny charakter satyryczny, szczególnie w pracach z postaciami, zwierzętami, które często odzwierciedlały ułomności ludzkich charakterów.

W Australii Adam Fiala kontynuuje pracę literacko-artystyczną, pisze wiersze, prozę satyryczną, rozwija również swoje zainteresowania w kierunku plastyki i muzyki. Jego wszechstronne pasje poszerzają się wraz z akceptacją życia w nowej ojczyźnie, w otoczeniu dzikiej przyrody i rdzennych mieszkańców Australii. Twórca sam siebie określa w „połowie Aborygenem, a w połowie Polakiem”, co niewątpliwie odzwierciedla się we wszystkich kierunkach Jego działalności artystycznej. Prace malarskie i rysunkowe Adama Fiali niepozbawione są satyry i ironii, oscylują pomiędzy naiwną ekspresją sztuki zachodu, a magicznym światem rdzennych Australijczyków.

Ulubionym gatunkiem poetyckim artysty są aforyzmy i ostatnimi czasy haiku. Od kilku lat Adam Fiala współpracuje z krakowskim Wydawnictwem Miniatura, gdzie wydał już kilkadziesiąt tomików poezji ilustrowanej swoimi rysunkami i grafiką. Są to dzieła o głębokiej refleksji filozoficznej i moralizatorskiej, z ogromną dozą humoru i dystansu twórcy do siebie i świata. Od 2008 roku ilustruje również książki zaprzyjaźnionych pisarzy i poetów. W Australii stale publikuje w *Pulsie Polonii* i *Przeglądzie Australijskim*. Jego utwory znajdujemy również na stronach internetowych amerykańskiego wydania *Culture Avenue* i w *Magazynie Twórczym Polska-Kanada*.



Andrzej Fiala

Urodził się w Warszawie w 1975 roku. W wieku 8 lat wyemigrował razem z rodzicami do Australii. Szkołę podstawową kontynuował w Perth - Zachodnia Australia i tam ukończył szkołę średnią, Carine High School. Następnie rozpoczął naukę w szkole artystycznej w Taffe w Perth, rysunek i fotografię. Ze względu na sztywne warunki nauczania zrezygnował z kontynuowania studiów i wybrał bardziej swobodną i autentyczną formę Art Naive (Art Brut).

Artysta opiera się głównie na samokształceniu dzięki dużej kolekcji książek i albumów. W swoich rysunkach i malarstwie kieruje się własną intuicją twórczą, emocjami, które towarzyszą mu w codziennym kontakcie z dziką australijską przyrodą.

Andrzej Fiala wraz ze swoim Ojcem, Adamem eksperymentuje we wspólnych projektach artystycznych, realizacjach krótkich filmów o sztuce, opartych na faunie i florze australijskiej. Artyści wplatają w malowane, bajkowe opowieści o egzotycznych zwierzętach Australii i przodkach białych przybyszów, historię i tradycję rodowitych mieszkańców tego kontynentu, Aborygenów.

W pracach rysunkowych Andrzeja króluje przyroda, dzika i groźna, a zarazem pełna niezwykłych barw i form, nigdzie dotąd

nie spotykanych na ziemi. Jego fotografie to efektowne kompozycje dziecięcych zabawek, wkomponowane w autentyczną nieokiełznaną przyrodę, inscenizują prawdziwy świat dzikich zwierząt, do których nie sposób byłoby artyście się zbliżyć. Wyobraźnia dziecka przetrwała w umyśle dorosłego człowieka, włączającego kreację artystyczną w plastycznych środkach barw, kompozycji i światła. Oglądając dzieła Andrzeja Fiali, czujemy się bardzo blisko tego tajemniczego i egzotycznego świata, dalekiej Australii.

Galeria Art Brut

Centrum Kultury w Lublinie

Moje australijskie noce i dni

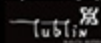


Adam Fiala

1 - 31 października 2019

www.teatroterapia.lublin.pl

Wystawa we współpracy z Fundacją Polskiej Sztuki Emigracyjnej 1939-1989







Adam Fiala



Adam Fiala



Andrzej Fiala



Wernisaż w Lublinie. W środku stoi - Henryka Milczanowska

Zobacz też:

<http://www.cultureave.com/adam-fiala-artysta-niepokorny/>

<http://www.cultureave.com/adam-fiala-turpizm-australijski/>

<http://www.cultureave.com/polscy-artysci-z-australii-anna-adam-i-andrzej-fiala/>

<http://www.cultureave.com/australijskie-piekno-na-fotografiach-andrzeja-fiali/>

Prace Adama Fiali na Festiwalu Sztuki

Naiwnej w Katowicach

Galeria Szyb Wilson i Fundacja Eko-Art Silesia zorganizowała XII Art Naif Festiwalu, który odbywa się od 7 czerwca do 23 sierpnia 2019 roku w Katowicach. W Festiwalu wzięły udział prace Adama Fiali z Australii. Artysta był wielokrotnie prezentowany na łamach magazynu „Culture Avenue”.



Adam Fiala przy pracy.

Adam Fiala urodził się 31 października 1940 roku w Lublinie. Jest poetą, publikuje w „Miniaturze” Kraków, pianistą (był klasycznym pianistą, ale grał prywatnie); artystą oraz kompozytorem i twórcą licznych piosenek.

Z zawodu w Polsce był radcą prawnym oraz prozaikiem członkiem Związku Literatów Polskich (wydał 7 książek). Po przylocie do Australii w 1985 stracił swój zawód prawniczy, ale skoncentrował się na sztuce poezji i muzyce. Jako artysta Adam ma tak indywidualny styl, że odbiega od sztuki akademickiej, mieści się jednak w kategorii Naive and Art Brute.

Swoje prace wystawiał w Krakowie. Brał też udział w dwóch konkursach rocznicowych poświęconych Kościuszcze i Strzeleckiemu. Otrzymał nagrody zarówno za rysunki jak i „Balladę o Górze Kościuszki” w Australii. Współpracuje artystycznie z Anną i Andrzejem Fiałą dodając do ich fotografii swoje Haiku.



Festiwal Sztuki Naiwnej w Katowicach, sala wystawowa. Na wprost czarno-białe rysunki Dama Fiali, kolorowe po lewej stronie blisko białego postumentu, fot. Henryka Milczanowska.

Adam Fiala w magazynie „Culture Avenue”:

<https://www.cultureave.com/adam-fiala-artysta-niepokorny/>
<https://www.cultureave.com/adam-fiala-turpizm-australijski/>
<https://www.cultureave.com/adam-fiala-wiersze-i-rysunki/>
<https://www.cultureave.com/wystawa-prac-adama-fiali-w-domu-polonii-w-krakowie/>

Inne linki:

Facebook

<https://www.facebook.com//>

Adam Fiala - piosenka o Van Goghu

Zenfolio

<http://fialaart.zenfolio.com/>

Youtube

<http://www.youtube.com/user/adamfialaart?feature=>

Polska Canada

<http://www.polskacanada.com/>

Leśne książeczki

www.blurb.co.uk/b/5978065-forest-secrets \

Schody



Adam Fiala

Matura po polskim październiku 1956 roku nie była łatwa zwłaszcza z przedmiotu zwanego historią. Przedmiot ten lubi ulegać magicznym zmianom. Zaś szkoła imienia Stanisława Staszica w Lublinie kojarzy mi się głównie ze Schodami. Nie chodzi o kariery, wielu uczniów je porobiło zwłaszcza w naukowych dziedzinach. Schody były drewniane, o wypracowanych stopniach, zjeżdżało się po nich w ciapach jak po ślizgawce. Były dwa zjeżdżania. Pierwsze gdy kończyły się lekcje, a były także w sobotę, drugie na gorącą zbożową kawę w podziemiach. Akurat przed dużą przerwą. Śpiący na lekcjach wtedy się budzili, nawiedzeni trzeźwieli i wiara wyruszała nie w pole, ale do kawopojju. Kanapki własne przynosiło się z domu, przeważnie bułki bez szynki. Szynka w socjaliźmie była produktem strategicznym. Wszystkie ówczesne ruchy, także solidarnościowe były głównie z powodu mięsa, jak to nazywano „świnoujścia” do Związku Radzieckiego, gdzie kołchozy i sowchozy nie nadążały z produkcją.

Ze Schodami kojarzą mi się dwaj nauczyciele zwani „psorami”. Pierwszym z nich był dyrektor Majder, pseudo uczniowskie było zbędne bo krótkie nazwisko. Dyrektor, łacinnik, słynny z południowego temperamentu. Uczęszczałem na lekcje łaciny i szalenie bawiła mnie i klegów głośna odmiana: *hic, haec, hoc, huius, huic*. Majder lubił trzepać zeszytem po głowie ucznia nieprawidłowo odmieniającego. Drugie słowo to było *plusquamperfectum*. To taki czas zaprzeszły. Akurat w naszym

czasie nie brakowało pluskiew i były perfekcyjne.

Jest nonsensem, że łacina to język martwy acz piękny. To jest urzędowy język państwa Watykan, nawet wynajdują nowe słownictwo na takie terminy jak telefon komórkowy czy komputer. On żyje i króluje. Na maturze miałem więc język łaciński. Zwolniony byłem potem na studiach prawniczych z uciążliwego lektoratu tego języka. Drugą uciążliwością nieznaną studentom KUL to było Studium Wojskowe, ale to zupełnie inna *cup of tea*.

Majder nie tylko trzepał zeszytami po głowach. Także ciapami, wtedy unosił się straszny pył. Zaczęła się przy końcu schodów i jak ktoś zjechał krzyczał: "poznałem cię", kazał zdejmować ciapa i odkurzał go na głowie delikwenta. Wtedy nie było jeszcze absolutnej nietykalności cielesnej. Ale Majdera wyrzucono po polskim październiku i zajął jego miejsce Ślepak, z okularami grubymi jak dno szklanki. Ślepak jednak wszystko wiedział i widział bo miał szpiegów. Nauczał matematyki którą nazywał królową nauk. Wiedza matematyczna Ślepaka zamykała się w grubym zeszycie z gotowymi, rozwiązanymi zadaniami. Spiskowano nawet by podkraść mu ten zeszyt. Byłby bezradny jak i bez podwójnych okularów. Gdy zmieniał okulary cała klasa machała rękami zakładając, że w tym momencie kompletnie nic nie widzi. Te szczegóły zostały zupełnie pominięte w panegirycznej nieco książeczce "Tamten Staszic". Myślę że po

prostu musiała być sporządzona w takim stylu. Rodzaj laurki. Cudem więc zdałem maturę z tego przedmiotu.

Ale jeszcze większy cud był z kolejnym „psorem” o pseudonimie Kalif. Też udało mi się zdać historię na trójkę. Kalif również wiąże się w mojej pamięci ze Schodami. Prowadził swą klasę dostojnie na śniadanie, wymachując grubą lachą jak Mojżesz. Do momentu. Wataha z góry naparła na jego klasę i Kalif został przewrócony, podeptany, a lacha uleciał kilka metrów dalej. Od tego wydarzenia Kalif już przestał uczyć kultury zachowania i bawić się w Mojżesza, prowadzącego do Ziemi Obiecanej.

Kombinowałem już wtedy, przyznaję się, by uniknąć tłoku. Nakładałem czerwoną opaskę, niby dyżurnego i bez problemu ześlizgiwałem się w podziemia (Majdera już wtedy nie było). Kawę podawano bez ograniczeń, czasami nawet naturalną, nie, nie, nie w okolicach świąt państwowych czy 1 Maja ale akurat kościelnych. Kalif to była barwna postać godna satyryka i jego powiedzenie: “strzelaj Niemcze w pierś Szlązaka” przeszło do historii szkoły Staszica. Odnalazłem je w tej książeczce “Tamten Staszic” przesłanej mi z Lublina po śmierci kolegi z prawniczych studiów. Są w niej dwa piękne eseje Kmiecika i Szczepaniaka. Pierwszy jest naukowcem, a drugi kustoszem Muzeum Socjalizmu w Kozłówce pod Lubartowem. Może jakimś cudem się o tym felietonie dowiedzą, bowiem lubliniacy są rozprzestrzeni po całym świecie. Zaś Kalif, który przeplatał

przedmiot historii własnym życiem, był, jakby to aktualnie powiedzieć, i szowinistą i rasistą i Bóg wie kim, bohaterem prawdopodobnie także. Nienawidził wszystkich narodów i innych ras za wyjątkiem Francuzów, Polaków, a szczególnie ukochał etniczną grupę Hanysów czyli Ślązaków, choć sam był w innym miejscu urodzony, jako „gorol” (*Ślązacy innych nazywają „gorole”, red.*). Ale uwaga szczególnie nie lubił Czechów. Czecha nazywał Prusakiem Wschodu. Mam czeskie nazwisko, jestem pragmatycznym pacyfistą w stylu właśnie czeskim (nawet w czasie Czeskiej Wiosny, czyli powstania przeciwko komunie, nikt albo prawie nikt nie zginął). Byłem tam tylko raz na wycieczce zakładowej z “Samopomocy Chłopskiej”, ale uważam, że Praga Czeska to najpiękniejsze miasto Europy, dobrze że nie było tam nigdy ostrego powstania i nienaruszona ocalała. Ponadto tam urodził się mój ulubiony pisarz Franz Kafka, który się nie starzeje, a nawet jakby ciągle rośnie w aktualność. Kalif więc mógł do mnie odczuwać naturalną niechęć. Niektórzy nauczyciele jak Dziejulski zwany Cyganem wzywali mnie do tablicy okrzykiem: “Fiala przyleciała”. Kalif miał na głowie tajemniczą bliznę. Podobno nie była z powodu Szwaba tylko obłany przez niego na maturze uczeń strzelił mu w głowę z modnego wówczas korkowca.

Kalif według własnych opowieści był bohaterem lub bardziej aktualnie ujmując rodzajem Rambo. Krótko ostrzyżony miał maleńkie niebieskie świńskie oczka i w dodatku grywał na

skrzypcach, żeby było jeszcze zabawniej. Grał jak to nazywał: kawałki. Kiedyś zagrał na akademii na pianinie taki kawałek bodajże Szuberta, ale jeden ważny klawisz nie działał. Kalif był w Legionach, w 1919 r. walczył o Śląsk Cieszyński. Wraz z garstką kolegów pobił cały batalion czeski, przeganiając wroga za Olzę. W 1919 r. bił się z Ukraińcami o Lwów i Galicję Wschodnią. Ukraińcy się cofnęli. W 1920 r. rozgromił bolszewików i wygrał konkurs skrzypcowy.

Ale jeżeli chodzi o Szwabów to się z nim nie zgadzałem, bo kocham szwabski salceson, którego nie znajdzie się w Australii. Zwano go też Guzikowym, ze względu na oczka białego tłuszczu w czerwonym krwawym mięsie. Bogaci ludzie w Polsce, a nigdy ich nie brakowało, zwano ich Czerwonymi Świniami z Zatoki Dobrobytu karmili tym salcesonem psy i koty.

Kalif jednak lubił Napoleona. Ponoć z zemsty za Księstwo tylko Warszawskie Polacy namówili Napoleona do inwazji na Rosję. Ale to już zupełnie inna historia.

Spisujmy wspomnienia, bo lubią ulatywać w przestrzeń kosmiczną. Czy komiczną - jak kto woli.

Moje Australijskie Noce i Dnie



Henryka Milczanowska

(historyk sztuki, kurator wystawy)

Wystawa malarstwa i rysunków Adama Fiali, polskiego pisarza, poety, malarza i grafika, w Galerii Dom Polonii w Krakowie, prezentuje wybrane dzieła z twórczości artysty, który wyemigrował z Polski w 1984 roku i zamieszkał wraz z rodziną w Australii, w Perth.

Wystawa została zorganizowana we współpracy Fundacji Polskiej Sztuki Emigracyjnej 1939-1989 i Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” Dom Polonii w Krakowie.

Adam Fiala urodził się w 31 października 1940 roku w Lublinie. Datę tę artysta potraktował symbolicznie, nawiązując do niej w swojej akwareli przedstawiającej śmiejącą się, przerażająco i sarkastycznie trupa czaszkę, podpisaną w języku angielskim „I was born on October 31, the night before Halloween”. (Urodziłem się 31 października 1940 roku, w noc przed Halloween).

Obraz ten można zrozumieć jako metaforyczny autoportret prześmiewcy, krytyka ludzkiej egzystencji i życia na emigracji, które stało się udziałem artysty niedługo po wydarzeniach stanu

wojennego. Zanim przedstawię sylwetkę twórcy, emigranta osadzonego na dalekich peryferiach australijskiej wyspy, krótko nakreślę Jego interesującą karierę pisarską w Polsce.



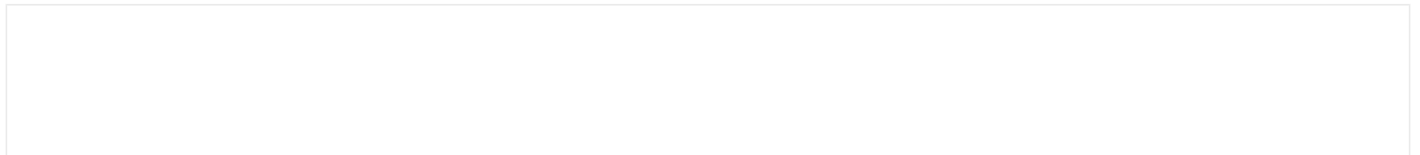
Adam Fiala, akwarela

Adam Fiala debiutował utworami poetyckimi i grafiką w „Kamienie” w latach 70. dwudziestego wieku, a później publikował w „Akancie”, „Naszym Dzienniku” i „Metaforze”. Swoją pierwszą powieść „Jeden myśliwy, jeden tygrys” napisał w 1976 roku, odnosząc sukces i uzyskując pochlebne recenzje krytyków. Kolejne, również dobrze przyjęte powieści „Sprawy rodzinne” i „Zygzakiem po prostej” oraz „Termiterium wisielców” powstały w latach 1977- 1979. Jak pisała biografka artysty, Teresa Podemska, w „Pulsie Polonii” (5 lipca 2015r.)

Krytyka literacka pisała przede wszystkim o autoironii bohatera i satyryczno-ironicznej reprezentacji rzeczywistości w twórczości pisarskiej Fiali. Wszystkie książki wyszły w około ćwierć milionowych nakładach.

W młodości Adam Fiala pragnął zostać artystą. Studiował również historię sztuki na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim lecz studiów nie ukończył. To doświadczenie bliskości ze sztukami pięknymi uznaje jako ważne, bo dało mu wiedzę o artystach i ich twórczym życiu. Jednak formalne względy nie pozwoliły na uznanie w środowisku profesjonalnych twórców młodego wówczas artysty. Ponieważ postać malarza Nikifora zawsze była mu bliska, swoje prace prezentował w grupie twórców malarstwa naiwnego, między innymi na wystawie pt.

Polen wie es naiv Gemalt, w Stutgarcie 1976 r., gdzie odniósł sprzedażowy sukces. W kolejnych latach, współpracując z warszawską DESĄ, miał możliwość prezentowania swoich prac na wystawach w kraju i za granicą, gdzie odnosił kolejne sukcesy. Niewątpliwie ważnym wydarzeniem była wspólna wystawa artysty i jego żony Anny, absolwentki Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi, zorganizowana w salach wystawowych warszawskiej Cepelii w 1978 roku. Kolejne wystawy w ojczyźnie odbyły się wiele lat później, w latach 90. dwudziestego wieku. W tym najważniejsze w BWA w Kłodzku, w Muzeum Okręgowym w Muszynie i Nowym Sączu (1991, 1996).



Wystawa prac Adama Fiali w Domu Polonii w Krakowie.





W Australii Adam Fiala kontynuuje pracę literacko-artystyczną, pisze wiersze, prozę satyryczną, rozwija również swoje zainteresowania w kierunku plastyki i muzyki. Jego wszechstronne pasje poszerzają się wraz z akceptacją życia w nowej ojczyźnie, w otoczeniu dzikiej przyrody i rdzennych mieszkańców Australii. Twórca sam siebie określa w „połowie Aborygenem, a w połowie Polakiem”, co niewątpliwie odzwierciedla się we wszystkich kierunkach Jego działalności artystycznej.

Prace malarskie i rysunkowe Adama Fiali nie są pozbawione satyry i ironii, oscylując pomiędzy ekspresją sztuki zachodu, a

magicznym światem życia rdzennych Australijczyków. Jego pierwszą wystawą zbiorową na emigracji, była prezentacja w Footscray Gallery, w Melbourne w 1984 roku. Wystawa nosiła tytuł „Artyści imigranci w nowym otoczeniu”. Do najważniejszych indywidualnych pokazów należała ekspozycja wystawiona w 1989 roku we Fremantle (Perth), Galeria A- Shed. Na tej wystawie artysta przedstawił 40 prac w ujęciu metaforycznym i karykaturalnym, z osobistą refleksją nad życiem na emigracji.

Ulubionym gatunkiem poetyckim Adama Fiali są aforyzmy i ostatnimi czasy haiku. Od kilku lat współpracuje on z krakowskim Wydawnictwem Miniatura, gdzie opublikował kilka tomików poezji ilustrowanej swoimi rysunkami i grafiką. Są to dzieła o głębokiej refleksji filozoficzno-moralizatorskiej, z ogromną dozą humoru i dystansu twórcy do siebie i świata. Od 2008 roku ilustruje również książki zaprzyjaźnionych pisarzy i poetów. W Australii stale publikuje w „Pulsie Polonii” i „Przeglądzie Australijskim”. Jego utwory można również znaleźć na stronach internetowych amerykańskiego wydania Culture Avenue i w Magazynie Twórczym Polska-Kanada.



Adam-Fiala, Painter, rysunek

Ekspozycja w Domu Polonii w Krakowie prezentuje ponad 40 prac Artysty z lat 2010-2017, malarstwo (akwarele, gwasze) oraz rysunki wykonane różnymi technikami. Prace zostały pokazane w seriach, założonych od początku przez samego twórcę (np. seria

Głowy), akty kobiece, fantastyczne rośliny, zwierzęta, architektura (seria Crazy Arch.). Spośród największej liczby rysunków, na szczególną uwagę zasługują rysunki grup postaci, ukazujące relacje międzyludzkie uchwycone doskonałą, karykaturalną kreską. Humor, satyra, ironia, nieodłącznie współtworzy i dopełnia dzieła polskiego Artysty, wewnątrznie pogodzonego z losem emigranta.

Prace Adama Fiali będą prezentowane na kilku wystawach w Polsce planowanych w latach 2018/2019. Wszystkie prace są do kupienia.

Wystawa trwała do 31 lipca 2018 roku. Kraków, Rynek 14, Dom Polonii. Wystawie towarzyszył katalog.

O wystawie na Culture Avenue:

<http://www.cultureave.com/wystawa-prac-adama-fiali-w-domu-polonii-w-krakowie/>

Wywiad z Adamem Fiałą:

<http://www.cultureave.com/adam-fiala-artysta-niepokorny/>

Wystawa prac Adama Fiali w Domu Polonii w Krakowie

27 czerwca w Galerii Domu Polonii w Krakowie, Rynek Główny 14, miał miejsce wernisaż prac artysty z Perth w Australii - Adama Fiali. Wystawę można oglądać do końca lipca 2018 r.



Adam Fiala - Credo twórcze

Jestem pół Polakiem pół Australijczykiem, ale ta pierwsza połowa może zawsze urosnąć.

Na australijski kontynent rzuciła mnie ciekawość świata, a zaspokojenie jej zawdzięczam Generałowi Jaruzelskiemu. Ale godnie z arią Jontka z opery narodowej „Halka”, nie mam żalu do nikogo i prywatnie w ogóle nie lubię mieć żalu, zwłaszcza po upływie czasu. Gdy zobaczyłem przebywając „na azylu” w ówczesnej Niemieckiej Republice Federalnej pismo z australijskiej ambasady z symbolem kangura i strusia

równocześnie pomyślałem: O! to dla mnie sprawa. Oznacza perspektywę Nowego, bo już dość miałem ciągle powtarzanego w Polsce słowa odnowa. Nawiasem mówiąc napisałem w Niemczech taką powieść, ale zaginęła w Londyńskim Wydawnictwie *Polish Books Fund*. Powiedzieli wtedy, że nie mają pieniędzy, bo zbierają je na książkę o księdzu Popiełuszcze. Uznałem ich racje, w końcu byłem męczennikiem w dużo mniejszej skali.

Tu w Australii czuję się czasami kimś w rodzaju sienkiewiczowskiego Latarnika. Nie trudno to sobie wyobrazić, bo mieszkam od lat w pobliżu Oceanu Indyjskiego. Polskę interesuje Atlantyk, Amerykę Pacyfik, a ja temu się przyglądam z wybrzeży Oceanu Indyjskiego.

Moje wykształcenie jest bardzo prozaiczne. Magister praw UMCS w Lublinie. Ale prawie od początku świadomego życia interesowały mnie równoległe trzy dziedziny: literatura, art i muzyka. Jako dziecko pisywałem wierszyki patriotyczne, żyło się wtedy wspomnieniami o Makach na Monte Casino, rysowałem też i malowałem pociągi parowe z wielkim dymem z lokomotyw. Lokomotywy były zawsze moją pasją. Uważałem je za żywe, sapiące stworzenia. Nic dziwnego że bardzo lubiłem rytmiczny wiersz Tuwima „Lokomotywa”.

Po latach zagrałem go na australijskim *didgeridoo*. Co do muzyki

to miałem prywatnego nauczyciela, kiedyś takie lekcje były modne wśród inteligencji, później nazywano ją inteligencją pracującą, a nawet twórczą i w tej ostatniej kategorii się mieściłem, nawet nie mając tytułów doktorskich czy profesorskich. Na studiach interesowało mnie prawo międzynarodowe. Do dziś kocham politykę. Ale wylądowałem ostatecznie jako radca prawny spółdzielni Samopomoc Chłopska na terenie województw lubelskiego, a później warszawskiego. Nie narzekałem, bo też musiałem być dyplomatą by się utrzymać na ćwiartkach czy połówkach, które dawały mi dobrą pensję w wysokości wynagrodzenia górnika dołowego, oczywiście po zsumowaniu. W jednym roku miałem chyba z pięć trzynastych pensji i nagród. Paradoks zrządził, że najlepiej zarabiałem właśnie w Polsce przed okresem stanu wojennego. Praca na radcostwach dawała mi mnóstwo wolnego czasu i pisałem prozę za prozą. Iskry to wydawały, honoraria były zbliżone do wartości małego Fiata.

Równocześnie sprzedawałem obrazy za tak zwane dewizy w BHZ Desa, biuro mieściło się w Alejach Jerozolimskich w Warszawie.

Stan wojenny przeciął to wszystko tak jak się przecina żywego człowieka piłą. W życiu nie wiadomo co człowieka spotka.

Jeżeli chodzi o muzykę, to gdy pojawił się Elvis przestałem grywać Chopena, skończyłem z prywatnymi lekcjami i zacząłem

walić w rozstrojone pianino śpiewając udawaną angielszczyzną.

Pozostało mi to do tej pory, bo komponuję piosenki także w języku angielskim. Ale za diabła nie chciałbym pisać prozy w tym języku. Moje pierwsze piosenki przesłuchał ówczesny dyrektor Lubelskiej Filharmonii Adam Natanek i o dziwo dobrze je ocenił. Dzięki niemu uzyskałem legitymację refrenisty drugiej kategorii w lokalach gastronomicznych. Mam szereg takich legitymacji. Druga to ZAiKSU, trzecia ze Związku Literatów Polskich, a następnie i ze Stowarzyszenia Literatów Polskich. Ale ciągle mam wyrzuty sumienia, że nie płacę składek, więc chyba jestem tylko honorowym członkiem tychże organizacji.

Podczas kilkunastoletniego pobytu w Warszawie muzykę zawiesiłem na kołku, bo nie miałem instrumentu, poza nowo narodzonym synem. Ale w Australii na wystawce na trawniku znalazłem pierwszy *keyboard* i tak się zaczęła moja nowa przygoda z piosenkami i jak to nazywam Romantycznym Jazzem. Piosenki przychodzą mi same, podobnie jak art czy literatura. I nie odganiam ich, wykorzystuję. W Australii czułem się artystycznie dobrze. Zainteresowali mnie Aborygeni, noblista Patrick White oraz malarze, ale organizacyjnie jako *etnik* z Polski nie wyrabiałem się. Zresztą wolałem czas poświęcić na tworzenie a nie dreptanie z listami proszalnymi.

Zawsze mnie odsyłano do Polonii w Perth, która nie była dla

mnie zbyt łaskawa, ponieważ byłem nietypowym emigrantem. Z pracą było ciężko, ponieważ uważano mnie wówczas w Australii za starego, skończyłem 40 lat, i w ogóle wtedy było spore bezrobocie. Przeżywałem długotrwałe okresy depresji, lecząc się u polskiej lekarki. Ta depresja spowodowała rozpad mojego małżeństwa, tak że po pewnym czasie staliśmy się tylko przyjaciółmi, współpracującymi artystycznie.

Obecnie w Australii podobnie jak i w Polsce bezrobocie jest bardzo niskie, ale ja już mam 77 lat i żyję z emerytur: australijskiej i w małym zakresie z polskiej jako dodatku na mocy porozumienia tych dwóch państw.

Wracając do działalności artystycznej, która była dla mnie dodatkową terapią, to lubię bardzo sam proces tworzenia, bo nigdy nie wiadomo jaki będzie ostateczny wynik. Jestem czynnym polskim patriotą, brałem udział w Sydneyjskich konkursach rocznicowych związanych ze Strzeleckim i Kościuszką i otrzymywałem nagrody, nawet specjalną z polskiego konsulatu za balladę o Górze Kościuszki.

Prawdziwego kopniaka dała mi krakowska „Miniatura” z szefem Mieczysławem Mączką. Dzięki niemu wydałem 10 całkowicie własnych pozycji i ilustrowałem ponad 70 tomików innych poetów i poetek. Za jego pomocą poznałem poetę Henryka Reja, z którym współpracuję od paru lat jako grafik - opublikowaliśmy

„Heads”. On potrafi dowcipnie i lapidarnie skomentować każdy mój rysunek i ma podobne zainteresowania muzyczne.

Są dwie osoby jeszcze, którym zawdzięczam wiele. Pierwsza to Teresa Podemska-Abt, która mnie na nowo odkryła jako poetę i zainteresowała mną fachowe pisma poświęcone literaturze oraz „Odrę”. Druga to Bogdan Nowicki, mamy wspólne zainteresowanie twórczością Franza Kafki. Opublikował o mnie teksty w „Migotaniach” i „Twórczości”, jego krytyka literacka jest dla mnie sporą pomocą, po prostu odkrywa mnie dla samego siebie – lepiej rozumiem czym się zajmuję.

Poza tym publikuję wiersze w „Polska-Kanada” magazynie twórczym redagowanym przez poetę Aleksandra Rybczyńskiego oraz w Culture Avenue. To jest też digitalny magazyn redagowany przez Joannę Sokołowską – Gwizdka, autorkę książek o polskiej kulturze emigracyjnej, szczególnie o teatrze. Mam bardzo duże „Body of Work” w każdej z tych dziedzin, publikuję dosłownie szczyt góry lodowej.

Światło Południa, magiczne, nastraja do twórczości, a o resztę nie trzeba się martwić. W twórczości pomaga mi naturalna łatwość skojarzeń, wyobraźnia, podświadomość i przetwarzanie obserwacji z życia codziennego. Cenię nowoczesną sztukę, ale sam najchętniej sięgam po piórko czy pędzel. Cenię też bardziej klawiaturę maszyny do pisania niż komputera. Wymyśliłem

rodzaj kompaktowej noweli pisanej wersem, mam takie dwie książki: e - booki na Internecie. Obecnie przestawiłem się z prozy na poezję. Piszę też felietony i aforyzmy, aktualnie publikuję regularnie „Punkt widzenia” na facebooku (FB).

Moje credo artystyczne jest bardzo proste. Salutuj Wielkim, ale twórz tylko we własnym stylu. Może to być gorsze, skromniejsze ale własne. Pomaga mi też psychologia, studiowałem trochę filozofii chrześcijańskiej na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, ale przerwałem, ponieważ potrzeby finansowe skierowały mnie do prokuratury w Gdańsku jako aplikanta. Byłem też na aplikacji adwokackiej w Olsztynie. Te wszystkie okresy zsumowałem, ponieważ były potrzebne do egzaminu na radcę prawnego. Było to najlepsze rozwiązanie.

Najwięcej o Polsce wiem z telewizyjnych Wydarzeń Polsatu, który lubi piłkę i muzykę disco, ale też potrafi spojrzeć wnikliwie w zakamarki polskiego życia, że nie powiem duszy.

Galeria Domu Polonii w Krakowie

wernisaż prac Adama Fiali, 27 czerwca 2018 r.



Pierwszy z lewej - dyrektor Domu Polonii w Krakowie, Kazimierz Dobrzański, w środku - prezes Fundacji PAW (Polish Artists in the World) i organizatorka wystawy, Henryka Milczanowska.







Rysunki Adama Fiala na wystawie w Krakowie.

Wywiad z Adamem Fiałą:

<http://www.cultureave.com/adam-fiala-artysta-niepokorny/>